Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 83 (1657) Warszawa, wtorek, 17 października 1967 r. Cena 50 gr

KLUB PRZYJAŹNI

PRZY Drużynie Harcerskiej im. T. Kościuszki w Biłgoraju powstał Międzynarodowy Korespondencyjny Klub Przyjaźni. Zadaniem Klubu jest nawiązanie kontaktów z młodzieżą pionierską z różnych krajów. Został wybrany międzynarodowy zarząd Klubu: prezesem został drużynowy Józef Grabowski, zastępcą prezesa węgierska pionierka Mihaly Magdalena, sekretarzem pionierka z ZSRR, Galena Blikowa.

Do Klubu przystąpiło już wiele zastępów pionierskich z ZSRR, CSRS i Węgier, które chcą nawiązywać kontakt z przyjaciółmi z innych krajów. (bs)

Nasz adres:

Międzynarodowy Korespondencyjny Klub Przyjaźni
Biłgoraj, ul. Krzywa 2
woj. Lublin

Klub Nastolatków

Czy zasłużyłam na to?

MAM 14 LAT i chodzę do ósmej klasy. Nie umiem znaleźć odpowiedzi na pewne pytania.

Sprawa jest taka. Moja klasa uciekła z lekcji, ja zostałam i od tej pory jestem traktowana, jak zadżumiona. Nikt ze mną nie rozmawia, gdy się do kogoś zbliżam, zaczynają się szepty. Złamałam solidarność, jestem lizusem!

Czy naprawdę na tym polega solidarność? Próbowałam klasie zwrócić uwagę przed ucieczką — że to na sucho nie ujdzie — jesteśmy przecież najstarszą klasą w szkole... na próżno.

Jestem zupełnie przeciętną uczennicą, zależy mi i na opinii i na stopniach, a poza tym mam „dziwne hobby". Zbieram „złote myśli". Mam ich wiele, a między nimi jest taka: **„Zanim cokolwiek zrobisz, pomyśl, jakie będą tego skutki".** Zastosowałam się do tej uwagi, gdy padł projekt ucieczki, i przegrałam. Nie mam już koleżanek, ani kolegów. Jestem wyjęta spod prawa. To bardzo przykre uczucie, coś w rodzaju usunięcia się gruntu spod nóg.

Czy naprawdę nie zasługuję już na koleżeństwo? Czy trzeba mnie traktować jak banitę? Czy nie zasługuję już na szacunek? Chciałabym wiedzieć, jakie jest zdanie innych.

„SAMOTNA" Z POZNANIA

REKRUT

NA ĆWICZENIACH

PUNKTUALNIE O SZÓSTEJ ostry dźwięk telefonu zrywa mnie na równe nogi. Pobudka! Wojsko to wojsko... Ściągam zasłonę z okna i widzę szare, skołtunione niebo. Przechodnie kulą się pod parasolami... Wczoraj, kiedy prosiłam, aby mi pozwolono wziąć udział w żołnierskich zajęciach, była piękna słoneczna pogoda. Pododdział, do którego mnie przydzielono, wyrusza za kilka godzin na poligonowe ćwiczenia.

Ciąg dalszy na str. 4—5

— Puls osiemdziesiąt... Bardzo pani spokojna — stwierdza lekarz, tuż przed moim skokiem...

Drzewo podróżnika

● Na Madagaskarze rośnie drzewo zwane ravenala, które uratowało już niejednego spragnionego wędrowca. Ravenala nosi również nazwę „drzewa podróżnika" i zawiera w swym wnętrzu zapas wody, która wypływa z niego po zrobieniu otworu. Otwór szybko potem zarasta i woda gromadzi się nadal.

Co kraj — to obyczaj

● W Indii podanie ręki na przywitanie nie jest mile widziane. Hindusi witają się przez złożenie obu dłoni. Gdy się jednak chce okazać komuś specjalny szacunek, wówczas należy złożonymi rękami dotknąć czoła.

Opalanie w ubraniu

● W Związku Radzieckim wytwarza się specjalny rodzaj tkaniny, która przepuszcza promienie ultrafiolkowe. W ubraniu uszytym z takiego materiału można się więc opalać.

Błąd kapitana COOKA

KAPITAN James Cook, sławny angielski żeglarz i odkrywca lądów, jako pierwszy opisał w swoim dzienniku zwierzęta australijskie, które zobaczył na odkrytym przez siebie lądzie w roku 1770. Małe futrzane zwierzątko ludzko przypominało mu znanego już z Ameryki oposa. Chciał więc go ochrzcić tym samym imieniem, ale popełnił błąd, opuścił pierwszą literę i opos z Australii do dziś nazywa się nieco krócej — pos.

W ten sposób sławny żeglarz niechcący przysłużył się zoologii. Dzięki tym dwóm nazwom łatwiej jest naukowcom wyróżnić dwa zwierzątka z tej samej rodziny dydelfów z podgromady torbaczy, które choć są do siebie ludzko podobne, mają odmienne cechy i upodobania. Opos amerykański jest mięsożerny, pos australijski woli potrawy jarskie. Jeden żyje w lasach, drugi nie odczuwa strachu przed ludźmi i chętnie wśród nich przebywa. Mieszkaniec Australii wyróżnia się wspaniałym futrem, za to amerykańska odmiana oposa może się pochwalić łuskami.

Posa można uznać w Australii za zwierzę prawie domowe, a że ma on sympatię do ludzi, świadczy choćby nasze zdjęcie. Temu małemu posowi zastrzelono na polowaniu matkę. Zaopiekował się małym pewien chłopiec i, karmiąc go początkowo smoczkiem, wychował go na sympatycznego... młodzieńca. Opiekun z koniecznością zastępuje mu nie tylko matkę, ale i drzewo. Mały pos wspina mu się po rękach i nogach, a w ogóle „chodzi mu po głowie". (B. T.)

WIELKA PODWODNA WYPRAWA UCZONYCH

Przygoda w GOLFSTROMIE

Golfstrom — czyli Prąd Zatokowy — wypływa z Zatoki Meksykańskiej u wybrzeży Ameryki środkowej i następnie płynie szeroką, 800-kilometrową rzeką przez Atlantyk, aż po Spitsbergen i Morze Barentsa. Temperatura tego prądu, wynosząca przeciętnie 26°C, ociepla klimat Islandii, północno-zachodniej Europy i zachodniej Grenlandii. Długość Golfstromu jest olbrzymia — wynosi 10 tysięcy kilometrów...

Wiele tajemnic tego ciepłego prądu nie jest jeszcze zbadanych. Ale oto w głębiny Golfstromu udaje się za kilka miesięcy grupa uczonych, pod kierownictwem dr Jacques Piccarda, syna słynnego badacza głębin morskich Augusta Piccarda. Uczeni popłyną z prądem Golfstromu w specjalnie skonstruowanym batyskafie PX—15, którego wodowanie już się odbyło.

Nie będzie to pierwsza wyprawa podwodna dr Jacquesa Piccarda. W roku 1960 właśnie on, z pomocnikiem marynarki Donaldem Walsh, osiągnął głębokość rekordową. Zanurzył się w Oceanie, w batyskafie „Trieste" na głębokość 10912 metrów! Ta podróż będzie miała jednak zupełnie inny charakter. Piccard, wraz z grupą pięciu uczonych będzie dryfował w batyskafie z prądem Golfstromu na głębokości — 400 — 600 metrów. Przez pięć tygodni będą znajdować się pod wodą, nie wynurzając się na powierzchnię. W tym czasie prowadzić będą badania wód Golfstromu i obserwować przez szyby życie podwodnego świata.

Podróż zapowiada się sensacyjnie. Zacznie się ona w Zatoce Meksykańskiej, a następnie PX—15 popłynie z Golfstromem przez Atlantyk ku Grenlandii i Nowej Szkocji...

(Z. P.)

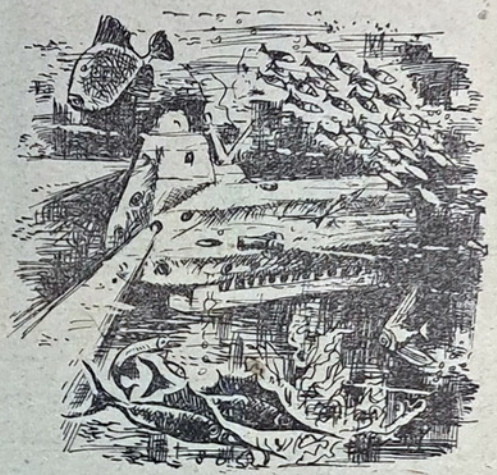

WAGA PX-15 wynosić będzie 120 ton. Długość batyskafu osiągnie 14,6 m. A oto inne dane techniczne: średnica cylindra 3,0 m, grubość stalowych płyt — 3,5 cm. Uczeni prowadzić będą obserwacje przez 40 okrągłych szyb. Batyskaf posiadać też będzie 4 motory, ale podczas podróży będą one wyłączone i batyskaf będzie dryfował z prądem w absolutnej ciszy.

KOLORY SAMOCHODÓW

● *Jaki kolor powinny mieć samochody, aby były jak najlepiej widoczne z daleka? Okazuje się, że najlepiej zauważa się wozy o czerwonym lub jasnym nadwoziu. Samochody takie sprawiają również wrażenie, iż znajdują się bliżej, niż to jest w rzeczywistości, powodując skupienie uwagi u kierowców jadących z przeciwnej strony.*

Z FIGLAMI KONIEC

● *W jednej z włoskich szkół zainstalowano w klasach tablice wykonane z luster, na których pisze się specjalną kredą. Mają one tę zaletę, że nauczyciel odwrócony tyłem do klasy może obserwować, co robią uczniowie.*

Zwierzę w ciapki

TEN PSTRY STRÓJ zdobi nieletniego tapira aż do wieku dojrzałego. Potem zwierzę przywdziewa futro w kolorze bardziej spokojnym, a z kolorów młodości jedynie pod brodą zostaje mu biała plamka. Wraz z wiekiem zwinnia się tapirowi także i usposobienie. Jedynie młode tapiry bawią się z indiańskimi dziećmi. Starsze szukają bardziej odpowiedniego towarzystwa we własnym tapirzym gronie.

Zwierzę charakteryzuje się niezwykłym nosem. Jest to ogromnie czuła i ruchoma trąba. Trudno odróżnić, w którym miejscu ta trąba jest mordą, a w którym tylko nosem. Wydaje się, iż cała tapirza twarz to jeden wielki nos. Dzięki niemu tapir zawsze wie, czy ma iść w lewo, czy skręcić w prawo, piąć się pod górę, czy zejść w dół. Nosem potrafi zwietrzyć każdą sytuację i ustalić sobie zdanie na temat tego, co należy robić, aby wypaść korzystnie.

Przed wrogiem najlepiej uciekać. Tapir nie lubi sytuacji konfliktowych, ceni sobie ciche i spokojne życie. Ten apatyczny wegetarianin lubi sobie dobrze podjeść, toteż kiedy wpadnie na plantacje, sieje spustoszenie. Ileż bowiem może zjeść ten żarłok ważący od 150 do 200 kg! Ma też dwa metry wzdłuż i 1 m wzwyż.

Przebywa najchętniej w lesie w obszarze od Gujany do Argentyny i od Chile do Peru. Polują na niego chętnie dla wspaniałego mięsa, na które szczególnie łasy jest jaguar. Zdarza się, że i wspaniały nos nie potrafi ustrzec tapira przed atakiem.

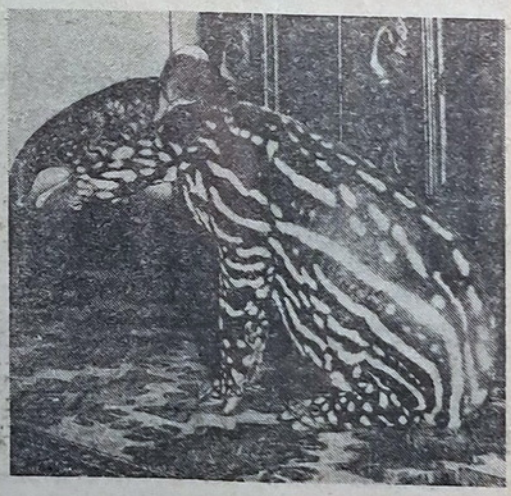

W 100 ROCZNICĘ URODZIN

W numerze 78 naszej gazety red. Jerzy Dąbrowski napisał dużą opowieść o naszej wielkiej uczonej Marii Skłodowskiej-Curie. Dziś publikujemy kolejny, mało znany epizod z jej życia.

Frontowa AKCJA

JEST WRZESIEŃ ROKU 1914. Niemcy rozpoczęli w sierpniu I wojnę światową. Dzielna, mała Belgia walczy jeszcze, ale wojska niemieckie weszły już w granice Francji i posuwają się szybko w kierunku Paryża. Mieszkańcy stolicy Francji szykują się do opuszczenia miasta, ewakuowano już ważniejsze urzędy. Ludzie pakują, co mają najcenniejszego, benzyna do samochodów jest na wagę złota, każdy myśli tylko o sobie, o swojej rodzinie, o swym dobytku...

W jednym z zatłoczonych przedziałów pociągu jadącego do Bordeaux, siedzi na ławce skromnie ubrana, starsza pani. Tuż obok niej leży niewielka skrzynka. Pociąg jest pełen uciekinierów, każdy ma jakieś bagaże, walizki, tłomoki. Na starszą panią i jej skrzynkę nikt w rozgardiaszu nie zwraca uwagi.

Na dworcu, w Bordeaux tłok jeszcze większy. Tłumy uciekinierów zajmują każdy skrawek miejsca, nie ma mowy o znalezieniu pokoju w hotelu czy choćby złapaniu taksówki. Starsza pani stoi przed dworcem do wieczora, pilnuje swojej tajemniczej skrzynki. Jest za słaba na to, aby ją zanieść do miejsca przeznaczenia. Skrzynka waży dwadzieścia kilogramów, prawie tyle co worek cementu, ale jej wartość jest kilkaset tysięcy razy wyższa. W środku jest skarb milionowej wartości, skarb zamknięty w kilku szklanych fiolkach otoczonych grubą warstwą ołowiu. Ten ołów sprawia, że skrzynkę można ledwo ruszyć z miejsca.

Wreszcie przypadkowo spotkany wyższy urzędnik paryski, znajomy starszej pani, pomaga jej jakoś. Wspólnie transportują ciężar i deponują go w jednym z miejscowych banków.

Kiedy skrzynka jest już zamknięta w podziemnej kasie pancernej, pani uspokaja się i wraca na dworzec. Wsiada do wojskowego pociągu jadącego z powrotem na wschód, do Paryża.

Kim jest ta kobieta, i co tutaj robi? Dlaczego zostawia swój „skarb" i wraca teraz do miasta, które lada chwila może znaleźć się w rękach Niemców?

„Tajemnicza pani" — to nasza największa uczona, Maria Skłodowska-Curie. Przywiozła do Bordeaux najcenniejszą rzecz, jaką dysponowali w tym czasie uczeni francuscy. Był to jeden gram radu, stanowiący własność Sorbony, słynnej uczelni paryskiej.

Jej laboratorium opustoszało, wszyscy pracownicy zostali zwolnieni, walczą teraz w szeregach żołnierzy broniących Francji przed napaścią. Pani Curie postanawia również przysłużyć się swej przybranej ojczyźnie.

Robi więc najpierw dokładny spis wszystkich aparatów rentgenowskich będących w posiadaniu Sorbony i przekazuje je szpitalom paryskim. Aparaty rentgenowskie oddały w czasie tamtej wojny nieocenione usługi lekarzom. Prześwietlano nimi rannych i umiejscawiano pociski i odłamki, które potem chirurdzy usuwali z ciał żołnierzy.

Pani Curie wie, że aparatów jest za mało, o wiele za mało, aby obsłużyć wszystkie szpitale. Co więc robić? I wtedy nasza rodaczka wpada na genialny pomysł. Na starym samochodzie ciężarowym umieszcza aparat Roentgena oraz dynamo dające prąd po uruchomieniu motoru. I rusza na objazd szpitali.

Wkrótce „Małych Curie" — jak je nazwano — jest już wiele. Uczona zdobywa — nie wiadomo skąd — coraz to nowe samochody, montuje na nich aparaty rentgenowskie, szkoli obsługę.

Jeden z samochodów zostawia dla siebie. Jeździ nim po polach bitew, po szpitalach polowych. Na miejscu znajduje odpowiednie pomieszczenie, montuje aparaty, organizuje ciemnię fotograficzną. Razem z chirurgiem, przy zaciemnionych kocami oknach, bada rannych, oznacza na ich ciele miejsca pocisków czy odłamków, widocznych doskonale na ekranie aparatu wywołuje klisze, które potem chirurg, w czasie operacji ma przed sobą. Czasami zresztą operacje robi się od razu, pod aparatem.

Samochodów jest coraz więcej, brakuje już szoferów. Wtedy pani Curie, światowej sławy uczona, laureatka Nagrody Nobla, chodzi na... kurs samochodowy i zdobywa prawo jazdy. Będzie więc mogła sama prowadzić samochód! Uczy się też bez przerwy anatomii i dalej doskonali swój nowy zawód: rentgenologa.

Jeździ teraz po całej niemal Francji. Wszędzie czekają na nią z utęsknieniem i witają z radością. W wielu szpitalach pani Curie, oficjalnie **„Kierowniczka Służby Roentgenowskiej, upoważniona do korzystania z samochodów wojskowych"** — zakłada stałe punkty badań, zdobywając — znowu nie wiadomo jakim cudem — aparaty rentgenowskie.

Kiedy już wiadomo na pewno, że Niemcy nie zdobędą Paryża, drogocenny skarb — gram radu — wraca do laboratorium. Będzie teraz służył do naświetlań trudno gojących się uszkodzeń skóry, a pani Curie, w swoim Instytucie Radowym, rozpoczyna wykłady na... kursie dla laborantek służby rentgenowskiej. W latach 1916—1918 wyszkoliła w ten sposób 150 laborantek. Jej „Małe Curie" i aparaty zainstalowane przez nią w szpitalach (a było ich już dwieście dwadzieścia) przebadały w czasie wojny ponad milion ciężko rannych żołnierzy umożliwiając im powrót do zdrowia!

Zadziwiające, jak ta słaba, w tym czasie już ciężko chora na nerki kobieta, mogła między jednym a drugim atakiem bólów — zorganizować służbę rentgenologiczną w całym, wielkim kraju. I to do tego, w kraju będącym w stanie wojny!

Nigdy przed tym okresem nie pracowała nad promieniami Roentgena, musiała więc wszystkiego uczyć się od początku. Musiała pokonywać tysiące przeszkód administracyjnych, wysiadywać w poczekalniach urzędników, przekonywać do swojej wielkiej idei wyższych wojskowych, u których niejednokrotnie słyszała: „Niech nam cywile nie zawracają głowy". I najważniejsze: przerwała wtedy na okres czterech lat swoje prace w laboratorium, prace, które były jej największym umiłowaniem.

Wraca do nich po wojnie, w roku 1918, ale i wtedy czas jej nie należy jeszcze do niej w pełni. Pisze bowiem książkę o roli rentgenologii w czasie wojny. Oto fragment tej książki:

— „Historia rentgenologii wojennej jest przejmującym przykładem, jak wielki i nieprzewidziany zakres praktycznych zastosowań może mieć w pewnych warunkach odkrycie czysto naukowe.

— (...) Wielka katastrofa, która się rozszalała nad światem i której ofiarą padły zastraszające ilości ludzkich istnień, wywołała reakcję w postaci gorącego pragnienia, aby ocalić wszystkich, których ocalić można (...)".

— „Jakiż wniosek nasuwa nam to niespodziewane powodzenie, które przypadło w udziale nowym promieniom ujawnionym przez naukę w końcu XIX wieku? Wydaje się, że musi ono natchnąć nas większym zaufaniem do bezinteresownych badań, wzmóc naszą cześć i uwielbienie dla nich".

Opracował
JERZY DĄBROWSKI

Mało znane zdjęcie Marii Skłodowskiej-Curie. Zrobione ono zostało w czasie I wojny światowej w jednym z nowo powstałych gabinetów rentgenologicznych.

Pani Curie wśród personelu jednego z francuskich szpitali wojennych.

CZERWONE BERETY

— 6 POMORSKA DYWIZJA POWIETRZNO-DESANTOWA obchodziła w październiku dziesięciolecie swego istnienia — przemówił do mnie pewnego dnia bardzo srogim tonem sam redaktor naczelny. — Pojedziesz do „Czerwonych Beretów". Pójdziesz z wojskiem na ćwiczenia...

— Skoczysz tam z nimi ze spadochronem — wtrącił sucho sekretarz redakcji. — Jesteś przecież spadochroniarką...

I tak znalazłam się u „Czerwonych Beretów"...

Któż ich nie zna, nie podziwia. Sprężysty krok, zawadiacka mina, wysportowana sylwetka... Kiedy idą ulicą, oglądają się za nimi dzieciaki, dorośli...

Wojska desantowe to piechota, saperzy, czołgiści, łączność. Do wielu umiejętności, które przyswoić sobie musi każdy żołnierz — dochodzi spadochroniarstwo. Tu skaczą wszyscy — dowódcy i żołnierze.

REKRUT na ćwiczeniach

C.d. ze str. 1

— Wojsko, to wojsko mówię do siebie bez entuzjazmu. Wycofać się jednak nie mogę. O ósmej melduję się u dowódcy.

— Pani nie jest wymiarowa! — dowódca mierzy mnie krytycznym wzrokiem. — A najgorzej z obuwiem. Pantofelki ugrzęzną w błocie i nikt ich nie odnajdzie... Skąd my wytrzaśniemy taki mundur?...

Poszukiwania przeciągają się. Żołnierze dawno wymaszerowali a ja wciąż siedzę i czekam.

O godzinie 10.00, przyodziana w nieprzemakalne ortalionowe spodnie i takąż bluzę, oraz w prawdziwe żołnierskie buty, człapię do niebieskiej „Warszawy", którą mamy dogonić pododdział.

Kiedy zbliżam się do wozu, kierowcę łapie atak kaszlu.

— Grypa — mówię, sadowiąc się z trudem. Gumkę przytrzymującą spodnie mam pod pachami, za to dół bluzy sięga mi kolan. — Aspiryna by się panu przydała...

Ale wojak nie słyszy. Patrzy gdzieś w bok i krztusi się od kaszlu.

Oficer, pan Eugeniusz Tuszewicz, mój opiekun na czas ćwiczeń, gromi wzrokiem grupkę żołnierzy zaglądających ciekawie przez okienka samochodu.

Za miastem, za którymś kolejnym zakrętem mokrej szosy, hamujemy. Dalej pójdziemy piechotą. Z wojskiem.

Mój pododdział to młody rocznik. Przed kilku dniami, kiedy dywizja obchodziła dziesięciolecie swego istnienia, składali przysięgę. Wszyscy mają już na swoim koncie po kilka skoków spadochronowych. Ale desant, to nie tylko spadochrony...

— Dwóch żołnierzy pobiegło naprzód i ukryło się, pozorując wroga — objaśnia Edward Matysiak, oficer szkolący pododdział. — Wyznaczona dwójka, młodszy szperacz i starszy szperacz mają zadanie przeszukania terenu.

Ćwiczenia jak w diabelskim młynie (bo koła się obracają i człowiekiem kręci na wszystkie strony) to powszedni chleb spadochroniarzy...

W normalnych bojowych warunkach pododdział oczekiwałby w ukryciu. Ale dziś odbywa się „lekcja". Żołnierze obserwują wszystko z wyniosłości szosy. Notują błędy popełnione przez kolegów. Za chwilę bowiem otrzymą zadanie następna grupa.

Powoli poruszamy się do przodu. Szperacze — nareszcie ich dostrzegam — przypadli do ziemi, w świeżo odrosłej lucernie. Oto widzę, jak ten pierwszy daje znak ręką. Drugi podrywa się i przebiega, nisko pochylony, kilkadziesiąt kroków. Pada i z pistoletem maszynowym przygotowanym do strzału wypatruje teren przed sobą. Wszystko widocznie w porządku, bo z kolei ten, który leżał, biegnie, wyprzedza kolegę i tak kolejno, aż do kępy starych, rozochatych wierzb, wzdłuż jakiegoś rowu.

— O rety — szarpię za rękaw pana Tuszewicza — tam na wierzbie...

Od nas, widać czerniejącą w koronie drzewa wtuloną w pień jakąś postać. Ale ten, który biegnie wzdłuż rowu, wcale nie patrzy do góry! Mija kilka drzew, pada, daje znak drugiemu i wtedy dopiero spogląda w górę! Tamten zrywa się. Biegnie. I nagle!

— Paf! Paf! Paf! — seria z pistoletu. Drobne ogieńki. Siny dymek... To pikuje ogniem ten przyczajony na wierzbie!

Oficer daje znak chorągiewkami. Cała czwórka (na drugiej wierzbie też był ukryty „wróg") wraca do pododdziału. „Pozoracja" otrzymuje pochwałę, szperacze — niskie noty.

— Nauczą się — mówi mój opiekun. — Nim skończą służbę wojskową, będą się poruszać cicho jak koty, nauczą się widzieć w gęstwinie, w dzień i w nocy...

W południe docieramy do miejsca ćwiczeń — zalesionego, rozległego terenu.

Żołnierze znowu rozbiegli się grupkami — „pozoracja" i „szperacze". Idziemy z panem Tuszewiczem „na skróty". Brniemy przez chaszcze po kostki w rozmiękłej glinie. Bluza przylega mi do pleców. Wzgórek, za wzgórkiem ruiny starego fortu. Między zwały gruzu wpełza „pozoracja", w pełnym oczywiście rynsztunku, z plecakami (w języku wojskowym plecak nazywa się pojemnikiem) z pistoletami. Szperacze przypadają wśród mokrych krzaków...

Zupełnie jak harcerskie podchody. — Tylko, że harcerze nie bawią się w czasie słoty i... ten żołnierski rynsztunek waży ponad trzydzieści kilogramów...

Rekrut WIESŁAWA MROCZEK

PIER BA W DY

CZY przeżywaliście kiedyś taki stan? Czeka was oto wielkie zadanie. Życiowy egzamin. Serce zaczyna trzepotać i nagle chwyta je w kleszcze lęk. Ten lęk podchodzi do gardła. Spędza z twarzy uśmiech. Wyobraźnia pracuje...

— A co będzie jeżeli... No, jeżeli zniesie mnie na drzewa, albo łupnie o beton startowego pasa... Nie to jest jednak najgroźniejsze. Co będzie, jeżeli po prostu zaczną się bać tam, w samolocie i oni wszyscy, instruktor i skoczkowie zorientują się, że ja się boję. Co będzie, jeżeli uchwycę się framugi drzwi, bo tak każe strach? Kiedyś już tak przecież było. Przy drugim skoku wypchnął mnie po prostu instruktor, bo kiedy spojrzałam w ten otwór za drzwiami, za którym rozpościerała się otchłań — stwierdziłam, że nie skoczę...

Wojska desantowe — to również saperzy, to także płetwonurkowie. W takich oto kombinezonach ćwiczą i wykonują zadania saperzy w czerwonych beretach.

RWSZA ABA WIZJI

W tej chwili jestem sama. Przebieram się w kombinezon spadochronowy. Potem już nie będę sama ani przez moment. Będą mnie obserwować: oficer służby spadochronowej, pan Stanisław Młot, lekarz, chyba ze dwustu przyszłych podoficerów Wojsk Powietrzno-Desantowych i... Potem przyjedzie generał — dowódca 6 Pomorskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej — Edwin Rozłubirski. Generał też będzie skakał... Ale to będzie jego 215 skok ze spadochronem. A mój... zaledwie dziewiąty.

— Trzymam za panią kciuki — pożegnał mnie przed pół godziną oficer — pan Kamiński. Niech pani pamięta — jest pani pierwszą kobietą w historii tej dywizji, której pozwolono u nas skoczyć!

Pamiętam. Jestem już gotowa. Buty na gąbce zasznurowane, włosy przyczesane. Jeszcze moment. Parę głębokich wdechów. Patrząc w lustro wykrzywiam twarz w uśmiechu.

— Idiotko! Opanuj się — mówię do swego odbicia...

— Niedobrze. Wiatr się wzmaga — wita mnie za progiem kantyny, w której się przebierałam, pan Stanisław. — Już jest ze cztery metry na sekundę...

Najwyżej zostanie pani na następny tydzień...

— Najwyżej? — Nie mogę! Wszystkie moje zezwolenia, upoważnienia, ubezpieczenia kończą się z dniem jutrzejszym. A jutro też może być wiatr!

— No, wojsko będzie skakać, ale...

— Ja też jestem wojsko — przerywam. — To moje zdanie. Co powiedzą w redakcji, w moim Aeroklubie... Co zrobię z reportażem?

W południe wiatr w porywach dochodzi do pięciu metrów. Zły wiatr. Co go to obchodzi, że ja na ten skok musiałam uzyskać zgodę wiceministra Obrony Narodowej...

— Wie pani, co — pociesza mnie pan sierżant Mieczysław Bralczyk — każemy wojsku dmuchać pod wiatr. Może ucichnie...

Czekamy przez wiele godzin. Spadochrony przygotowane do skoku też czekają. Słońce zaczyna się chylić ku zachodowi. Wiatr powoli słabnie... Za to robi się chłodno.

Oto strzela w górę zielona rakieta. Zapowiedź skoków! Dwa samoloty typu AN-2 kołują w naszą stronę.

— Pani i pan Bralczyk polecicie w trzecim wylocie — decyduje pan Młot.

Obaj panowie pomagają mi założyć spadochrony. Główny, ten, który mam na plecach, waży około siedemnastu kilogramów.

— Żeby się tylko coś nie stało, żeby nie odwołali skoków...

Chłód przenika do kości. — Żeby się tylko nie trząść — pomyślę jeszcze, że to strach. A ja w tej chwili już się nie boję...

Do samolotu wchodzę ostatnia. Skakać będę jako pierwsza z dziesiątki. Tuż za mną — pan Bralczyk. Siadam na wprost drzwi.

Samolot drży, powoli zaczyna kołować. Za moment pęd powietrza przyciska nas do ściany. Odrywamy się od ziemi. Lecimy! AN-2 nabiera wysokości, a więc jeszcze kilkanaście minut w samolocie...

Janusz Molik — instruktor spadochronowy udziela ostatnich wskazówek. Niewiele słyszę, bo hełm zaciska mi uszy. Ale po chwili stwierdzam, że odpowiadam mu bardzo głośno.

Już otwarte drzwi. Ziemia czernieje. Przecinają tę czerń siwe dymy ognisk. Pewnie pieką w polu kartofle... Gdzieś tam, daleko, daleko, bieleją wśród kępy drzew wieżyczki kościoła. Wbrew samej sobie patrzę w dół. Wiem, że wyjdę stąd szybko. Bardzo szybko. Przedtem zasalutuję. Jak wojak. Oto sygnał syreny. Znak do skoku. Pan Janusz sprawdza, czy lina, która ściągnie osłonę ze spadochronu, jest prawidłowo zaczepiona do linki w samolocie.

— Bliżej! — krzyczy głośno.

— Ja wolę z rozbiegu! — odkrzykuję. Wolę, nie wolę, ale słuchać trzeba.

— Lotnisko jest tam! Skakać na nogi. Liczyć!

Wyglądam. Widzę srebrzące się kadłuby samolotów.

— Już!

Patrzę przed siebie. Rękoma chwytam się mocno uprzęży spadochronu. Mocny krok do przodu! Czuję, jak porywa mnie silny prąd powietrza.

— Sto dwadzieścia jeden... Sto dwadzieścia dwa...

— W czasie kiedy liczę, musi się spadochron otworzyć. Kończę i czuję lekkie, bardzo lekkie szarpnięcie. Jestem ustawiona nogami w dół. A właściwie siedzę w uprzęży. Patrzę do góry. Czasza dobrze otwarta. Wszystko to trwa kilka sekund.

Tymczasem z samolotu wyskakują następni szkoczkowie. Liczę. Jest ich ze mną dziesięciu. Ba, ale oni są dużo, dużo niżej. Pan Bralczyk już ląduje... Jestem lekka, i te osiemdziesiąt kilka metrów kwadratowych perkalu przetrzyma mnie dłużej w powietrzu...

Ziemia się zbliża. Powinnam teraz wykonać obrót. Chwycić rękoma na krzyż za szelki spadochronu i obrócę się. Inaczej wyląduję na plecach. Ale obrót mi nie wychodzi! Chwytam więc mocno za przednie szelki uprzęży, podciągam się na rękach i... lądują na boku. Nawet nie czuję dotknięcia ziemi. Zrywam się. Wypinam się z uprzęży.

I widzę jak z gazika, z poważną miną, wysiada pan Stanisław Młot.

— Co to było — mówi srogo — z tym obrotem, hm? Ale już po chwili uśmiecha się serdecznie. No to gratuluję — pierwsza babo w dywizji!!!

*

Dwa wyloty po mnie skakał pan generał Edwin Rozłubirski. Przyjechał na lotnisko w ostatniej chwili. Widziałam, jak biegł do samolotu razem z innymi skoczkami.

A po skoku, już przy kawie, otrzymałam od dowódcy dywizji prezent — desantowy nóż spadochronowy.

— Przy swoim dziewiątym skoku, korzystałem z pomocy takiego noża. Tak jak i ty „Świecie Młodych" skakałem na linę. Tylko miałem pecha. Dwie linki od czaszy spadochronu skrzyżowały mi się między nogami. Z czaszy zrobił się kalafior. Ciąłem błyskawicznie. Nawet nikt nie zauważył dokładnie, co to było... Te noże są ostre jak brzytwy. Obyś nigdy nie musiała go używać...

Pierwszą babą, która wykonała skok ze spadochronem w 6 Pomorskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej była:

WIESŁAWA MROCZEK

Foto: Z. Kwilecki i autorka

Mój spadochron sprawdzany był chyba z pięć razy. Oto ostatni przegląd...

Ogromna, okrągła czasza, barwy ochronne. Na takim właśnie spadochronie oddawałam swój dziewiąty skok w życiu...

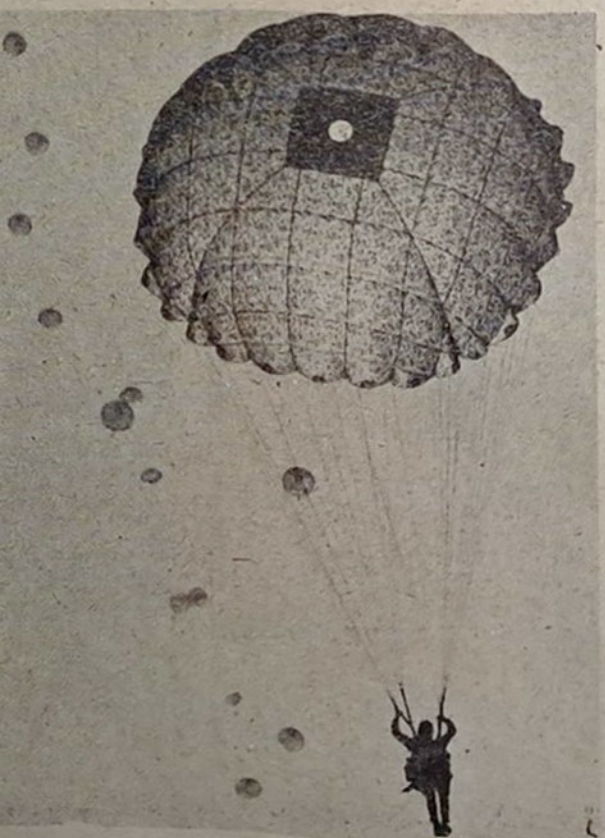

Tropem Czerwonego Sztandaru

ODFIENI I SABOHAT — pionierów z Buchary — dowiedziałem się, że pionierzy Uzbekistanu od trzech lat wędrują „Szlakiem Czerwonego Sztandaru". Zbierają stare dokumenty, zapisują opowieści o latach rewolucji i krwawych walkach z basmaczami (tak nazywano tu bandy kontrrewolucyjne, które chciały przywrócić dawne porządki). Grupy pionierskie spotykają się też z weteranami rewolucji i uczestnikami ostatniej wojny światowej.

Jak wielkiej dokonano już pracy, dowiedziałem się wkrótce od I sekretarza Komsomołu obwodu bucharskiego, towarzysza Said Awiezowa.

— W ciągu trzech miesięcy nasi pionierzy odwiedzili dosłownie każdy dom, by się dowiedzieć, kto z rodziny walczył na froncie, kto wrócił, a kto zginął, kto i w jaki sposób wyróżnił się na wojnie. A potem, szperając w archiwach, w starych gazetach, nawiązując korespondencję z byłymi dowódcami jednostek wojskowych — uzupełniano te wiadomości, sprawdzano ich ścisłość...

Said Awiezow podszedł do wielkiej szafy pancernej, stojącej w jego gabinecie i wyciągnął paczki dokumentów.

— To meldunki przysłane przez pionierów. Dowiedzieliśmy się z nich, między innymi, że w naszym obwodzie odznaczono podczas wojny najwyższym wojskowym orderem — Gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego — aż 18 wojskowych. A do tej pory sądziliśmy, że było ich tylko siedmiu. Na wniosek pionierów i komsomolców zmieniono nazwy wielu ulic, nadając im nowe, związane z bohaterskimi żołnierzami i bitwami II Wojny Światowej.

RADŻABOW — OBECNY!

W VII KLASIE Szkoły Kołchozu im. Lenina, w drugim rzędzie od okna stoi ławka. Ale to nie taka sobie zwykła ławka. Siedzieć w tej ławce — to wielkie wyróżnienie, o którym się potem długo pamięta. W tej ławce siedział kiedyś Nasri Radżabow.

Do klasy wszedłem razem z nauczycielem. To była pierwsza lekcja i, jak zawsze na początku dnia, nauczyciel sprawdzał listę obecności. Kiedy przeczytał nazwisko Nasri Radżabowa, cała klasa odpowiedziała:

— Zawsze między nami!

Pokazano mi potem jego fotografię. Młody komsomolec, z czarnymi jak węgiel, śmiejącymi się oczami. Już był w mundurze. To ostatnie zdjęcie przed wyjazdem na front.

Potem słuch o nim zaginął. Przez wiele, wiele lat ani w kołchozie, ani w szkole nie wiedziano, co się stało z Nasrim. Zginął? Dostał się do niewoli? Wrócił i zamieszkał w innej części ZSRR?

Pionierzy z tego kołchozu również brali udział w akcji „Szlakiem Czerwonego Sztandaru". Chodzili od domu do domu, rozmawiali z rodzinami poległych żołnierzy i z tymi, którzy szczęśliwie wrócili z wojny. Trafili również do domu, w którym mieszka Hulasa Dżabarowa, siostra Nasriego. Opowiedziała o swym bracie. O tym, że zginął gdzieś w dalekiej Mołdawii. A gdy już mieli odejść, Hulasa coś sobie przypomniała.

— Zaczekajcie jeszcze chwilkę — poprosiła. — Pokażę wam list. Ostatni list z frontu.

Zszarzały już kartki tego listu. Kartki wyrwane ze zwykłego szkolnego zeszytu. List był krótki. Nasri pisał w nim, że jest zdrów, że walczy w Mołdawii i jest bardzo szczęśliwy, bo właśnie tego dnia otrzymał zaszczytny tytuł „Bohatera Związku Radzieckiego".

Po otrzymaniu tych wiadomości drużyna pionierska z kołchozu im. Lenina wysłała list do pionierów w Mołdawskiej SRR. Po kilku tygodniach otrzymali odpowiedź: grób bohatera ZSRR Nasri Radżabowa znajduje się na cmentarzu wioski Nigurini Wiek. Data śmierci: 22.VIII.1944 roku.

Dziś znana jest pionierom ze szkoły, do której niegdyś również chodził Nasri, historia jego walki i śmierci. Nasri był „kulomiotczykiem", czyli obsługiwał karabin maszynowy. Odznaczony został za zniszczenie dwóch czołgów hitlerowskich i przebicie się z okrążenia. Zginął, kiedy oswobadzano wioskę Nigurini Wiek. Nieprzyjaciel miał tam znaczną przewagę nad oddziałem Nasriego. Kiedy skończyła się amunicja, żołnierze radzieccy walczyli granatami. Kiedy i te się skończyły — ruszono do ataku na bagnety. I tak wyzwolono wioskę.

Co roku teraz delegacja pionierów Buchary wyjeżdża do Mołdawii. Co roku, w dniu śmierci Nasriego, w kołchozie im. Lenina rozpalane jest uroczyste, pionierskie ognisko. A każdego dnia w klasie VII, do której chodził Nasri, nauczyciel wyczytując listę obecności, czyta i jego nazwisko. I wtedy cała klasa, zgodnie z prawdą, odpowiada: **„Jest między nami!"**

BUCHARA I GDAŃSK

KIEDY WRÓCIŁEM do Buchary, odwiedziłem jeszcze raz Szkołę — internat nr 1, im. Nasri Radżabowa i opowiedziałem pionierom o swoich wrażeniach z pobytu w jego szkole. A potem Fienia, Rukija i Sabohat zaprowadziły mnie do izby pionierskiej. Tam, obok dużej fotografii Nasriego, była jeszcze druga: siwego już, starszego mężczyzny.

— Wyobraź sobie — mówiła Sabohat — przez tyle lat mijaliśmy go często na ulicy i nikt o nim nic nie wiedział: mieszka niedaleko szkoły. Ot, taki sobie zwykły człowiek, jeden z wielu...

— A tymczasem Nugman Szaripow to również bohater ZSRR — wyjaśnia Rukija. — Tytuł ten otrzymał za niezwykłe akcje, za wykazaną nadzwyczajną odwagę przy wyzwalaniu Gdańska.

— I dlatego — dokończyła Fienia — nasi pionierzy bardzo chcieliby korespondować ze swymi kolegami z Polski. Przecież wielu naszych ojców i starszych braci walczyło w waszym kraju. Wiele nam opowiadali o Polsce. Chcielibyśmy więc poznać się z harcerzami, dowiedzieć się, jak pracują, jak przygotowują się do obchodów 50 rocznicy Rewolucji Październikowej.

Spełniając prośbę moich trzech przyjaciółek i ich kolegów, podaję adres: **ZSRR, Uzbecka SRR, Buchara, Szkoła — internat nr 1.** Może ktoś z was po rosyjsku do nich napisze?

JERZY B. KLIMA

Do POCZTY „AURORY"

Zwracamy się z gorącą prośbą o pomoc w nawiązaniu kontaktów z pionierami radzieckimi.

22 D.H. im. J. Korczaka Kraków

Proszę o podanie adresu „Pionierskiej Prawdy".

Zb. Pawlak, Poznań

W jaki sposób nawiązać korespondencję z pionierami ZSRR?

Harcerz, Wola Rożłowa

Poczta odpowiada:

W dniach 18—22 października trwa operacja pn. „Pomost Przyjaźni". Polega ona na tym, że każda drużyna harcerska biorąca udział w akcji „Aurora" powinna do 18.X. br. napisać po rosyjsku list. W liście tym

należy powiadomić pionierów radzieckich o tym, co harcerze zrobili (o ognisku, zdobytych sprawnościach, o wykonanych czynach na cześć rocznicy Rewolucji itd). Warto też podać przykłady przyjaźni polsko-radzieckiej z własnego środowiska, opowiedzieć o odszukanych pamiątkach wspólnej walki z faszystowskim najeźdźca (dołączając np. fotografie pomników, miejsc pamiątek itp.).

List taki powinien być odczytany na uroczystym apelu w siedzibie szczepu czy ośrodka i wysłany specjalną sztafetą (wraz z meldunkiem o przebiegu akcji) do Komendy Hufca. Potem, kolejno, podobne apele i uroczyste pożegnanie sztafet z listem do pionierów i meldunkami odbędą się w hufcach (19.X.), w chorągwiach (20.X.), 22.X. nastąpi uroczyste zakończenie operacji w Głównej Kwaterze Związku Harcerstwa Polskiego, a listy zostaną wysłane do Związku Radzieckiego.

Poczta wyjaśnia:

Można, też wysłać listy do konkretnych drużyn albo do redakcji **„Pionierskiej Prawdy" — Moskwa A-30, ul. Suszczowskaja 21 — ZSRR.** Wiemy też, że wielu pionierów i drużyn pionierskich z Uzbekistanu chce korespondować z harcerskimi drużynami. Tym, którzy mają ochotę na tę korespondencję — podajemy adres miejscowej gazety pionierskiej: **„Pionier Wostoka" — Uzbekistan — Taszkient, ul. Nawoi 30 — ZSRR.**

Oczywiście listy piszemy tylko po rosyjsku. (JBK)

Ewa Pilarowa

LUDZIE zadzierali głowy w stronę balustrady zawieszonej pod kopułą kościoła. Ksiądz odśpiewywał swoje psalmy przy ołtarzu, a wierni wtórowali mu z roztargnieniem. Inny bowiem śpiew odciągał ich uwagę. Śpiew solistki w chórze kościelnym. Solistką była mała 7-letnia dziewczynka — Ewa. Głos miała tak piękny, że niektórzy mówili: „Chyba sam anioł śpiewa w kościele". Ale ksiądz stwierdził, że śpiew małej solistki nie sprzyja skupieniu wiernych i zrezygnował z wokalnych popisów Ewy.

Dziewczynka nie przejęła się zbytnio dymisją. Zaczęła śpiewać w szkole, którą właśnie zaczęła. Nauka była równie pasjonująca jak śpiew, więc Ewa śpiewała i uczyła się z równym zapałem. Rodzice jednak orzekli, że nauka ważniejsza, toteż posłuszna córka schowała w zanadrze swą pierwszą w życiu nagraną płytę (a miała wówczas 8 lat) i niczym nie zdradziła swego piosenkarskiego bądź co bądź nieco wczesnego sukcesu.

Płyta jednak narobiła w mieście dużo szumu. „8-letnia piosenkarka — tego jeszcze nie było" — mawiano.

Rodzice postanowili „ustrzec" córeczkę od pokus świata artystycznego i zdecydowanie wybić jej z głowy piosenkarskie marzenia. Pozornie Ewa zrezygnowała. Ale tylko pozornie, bowiem w ukryciu śpiewała nadal. Najpierw sobie a muzom, wreszcie w coraz to większym gronie. Nawet Szkoła Handlowa, do której zapobiegliwi rodzice wysłali Ewę, nie odciągnęła jej od umiłowanego śpiewu. Kilka lat „konspiracji" przeszło bez burz. Ale wreszcie rodzice dowiedzieli się o występach śpiewaczych swej córki, organizowanych u coraz to innych przyjaciółek.

Wtedy skapitulowali. Pozwolili Ewie po maturze studiować śpiew operowy w Szkole Muzycznej.

— To był mój pierwszy życiowy sukces i zwycięstwo — opowiada dziś sławna piosenkarka czeska — Ewa Pilarowa — wspominając swoje dzieciństwo.

— Najbardziej kocham śpiew i piosenkę — mówi w rozmowie ze „Światem Młodych" Ewa Pilarowa. — Ale też i film mnie pociąga. Występowałam w kilku filmach muzycznych. Najmilej wspominam „Gdyby 1000 klarnetów", gdzie śpiewałam w duecie z Karelem Gottem piosenkę pt. „Niebezpiecznie dotykać gwiazd".

Obecnie nakręcam swój najnowszy film pt. „Zbrodnia w kabarecie". Moje estradowe plany? W grudniu wyjeżdżam z koncertami na Kubę. Potem na pół roku do Las Vegas, i na następne pół roku do Londynu. Jeszcze przedtem będę miała 20 recitali w Polsce. Razem z naszym nowym piosenkarskim objawieniem, Jaromirem Mayerem (śpiewał w ubiegłym roku w Sopocie) damy wiele koncertów w różnych miastach waszego kraju. Najpopularniejsza płyta? Uważam, że ogromny sukces, bo aż 450 tys. nakładu, odniosła moja piosenka „Niebieska miłość". W Czechosłowacji płyta, która ma 100 tys. nakładu jest już wydarzeniem, a 450 tys. nikt jeszcze nie osiągnął.

Ewa Pilarowa występowała tego roku na Festiwalu Piosenki w Sopocie. Śpiewała w Dniu Płytowym specjalnie dla niej napisaną piosenkę pt. „Requiem". Kompozycja ta w wykonaniu piosenkarki otrzymała ostatnio nagrodę „Złotego Klucza" w Bratysławie, na Festiwalu Telewizyjnym. W Sopocie Ewa Pilarowa powtórzyła swój sukces, zdobywając za piosenkę „Requiem" nagrodę „Grand Prix de Disques 1967 r.".

Tak to mała Ewa zrealizowała swe dziecięce marzenia i stała się sławną Ewą Pilarową, jedną z najzdolniejszych i najambitniejszych (obok Hany Hegerowej) piosenkarek Czechosłowacji.

ALICJA WIELGOŁAWSKA

Ordery dla dzielnych ludzi

PAMIĘTACIE zapewne opowieść p. Cezarego Chlebowskiego o „Uratowanym skarbie", którą drukowaliśmy w dwóch kolejnych numerach, w połowie września. Przedstawialiśmy w niej autentyczny fakt z okresu okupacji hitlerowskiej, kiedy to grupka dzielnych i nadzwyczaj uczciwych ludzi, z narażeniem życia, przez całe sześć lat ochraniała skarb wartości ponad dwa i pół miliona dolarów w złocie. Skarb ten, to depozyty sądowe w postaci 8 kg złota, brylantów i szlachetnych kamieni.

Wkrótce po wyzwoleniu główni bohaterowie tej dzielnej grupki ludzi, W. Drojanowski i R. Bureraf zgłosili się do ówczesnego ministra Skarbu Konstantego Dąbrowskiego przekazując w imieniu całej grupy osób zaangażowanych w ukrycie kosztowności — ocalony skarb. Stał się on wówczas zalążkiem przyszłego skarbu narodowego, który wówczas był kompletnie pusty.

Kilka dni temu wszyscy uczestnicy ukrywania i zabezpieczenia skarbu zostali za swój czyn odznaczeni przez Radę Państwa wysokimi odznaczeniami państwowymi. Krzyże Oficerskie Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: Wacław Drojanowski i Romuald Burgraf; Krzyże Kawalerskie — Józef Falandysz, Mateusz Zenko, Wanda Orlicz-Dreszerowa i Natalia Jarczewska. (J.k.)

MŁODZI MIŁOŚNICY KSIĄŻKI — UWAGA!

cenna premia!

RADIO TRANZYSTOROWE!

i nagrody pocieszenia zostaną rozlosowane wśród Czytelników, którzy do dnia 15.XI.67 zamówią w Wydawnictwie Harcerskim (Warszawa, ul. Konopnickiej 6) co najmniej 4 tytuły z podanego zestawu książek. Listę nagrodzonych znajdziecie w jednym z numerów „ŚWIATA MŁODYCH".

Odciąć Wypełnić Przesłać

S. Borowiecki, J. Domagalik — ASTROEKSPEDYCJA . . . . . zł 10.—
(Jak zostać kosmonautą — wspaniała zabawa)

J. Gazda, W. Lewiński — WŚRÓD KSZTAŁTÓW I BARW . . . . . zł 14.—
(Podstawowe wiadomości o sztuce — jak upiększyć obóz, zorganizować wystawę, urządzić harcówkę)

J. Majka — W JĘZYKACH MÓWIMY STU zł 13.—
(wiele ciekawych informacji o pionierach i innych postępowych organizacjach z całego świata)

Z. Nowak — MĄDRA GŁOWA . . . . . zł 15.—
(dla amatorów rozrywek umysłowych — krzyżówki, zagadki, projekty quizów itp.)

M. Warneńska — ALARM NA RYZOWISKACH zł 11,—
(ciekawe opowiadania o dzieciach walczącego Wietnamu)

W. Wiśniewski — ZŁOTY MEDAL . . . zł 10,—
(Sport na podwórku — jak trenować, organizować zawody, przygotowywać sprzęt)

M. Zimiński — STO DNI POD BIEGUNEM zł 10,50
(W co i jak bawimy się zimą).

„Zastępowemu na ucho"

Seria książeczek zawierających pomysły ciekawych i pożytecznych zadań, gier i zabaw, przeznaczonych dla zastępów w drużynach młodszoharcerskich:

M. Dankowska — BŁĘKITNY KRZYŻ . . . zł 4,60
B. Gajdeczkowa, P. Rządca — CHATA ROBINSONA . . . . . zł 4,60
B. Gajdeczkowa, P. Rządca — UWAGA! BAKTERIA! . . . . . zł 4,00
J. Stykowski — PALI SIĘ! . . . . . zł 4,60

Zamawiam i proszę o przesłanie książek za zaliczeniem pocztowym. Przesyłkę zobowiązuję się wykupić natychmiast po jej nadejściu.

(nazwisko i imię)

(poczta, powiat)

(miejscowość, ulica, nr domu)

(data) (podpis zamawiającego)

DRUK

miejsce na znaczek

WYDAWNICTWO HARCERSKIE
Warszawa
ul. Konopnickiej 6

SKARBY OCALONE PRZED POTOPEM

Polska ekipa w towarzystwie prof. K. Michałowskiego w chwili odpoczynku po pracy.

FARAS, maleńka wioska w północnym Sudanie, nad brzegiem Nilu przeżyła w czasie tysiącleci swoich dziejów wiele katastrof. W starożytności nosiła imię Pachoras i pod tym imieniem występowała do VIII wieku jako stolica Nubii. Coraz bardziej tracąc na znaczeniu, w naszych czasach skazana została ostatecznie na zagładę i wytarcie z mapy Afryki. Nowa Tama Asuańska, tworząca zalew Nilu w Nubii, spiętrzyła wody ponad wioską i uczyniła zeń dno jeziora na głębokości 40 m.

W momencie gdy czytacie ten numer, Faras nie istnieje. Jej mieszkańcy urządzają teraz swoje domy w Kaszm el Girba w pobliżu granicy abisyńskiej, a poziom wody w Nilu wznosi się coraz bardziej, tak że już w tym miesiącu zacznie pracować turbina i popłynie prąd z nowej elektrowni.

Nim jednak sztuczny potop pochłonął na zawsze nie tylko Faras, ale i całą Nubię, archeolodzy i uczeni świata zorganizowali akcję ratunkową, ocalając przed zniszczeniem część skarbów przeszłości i bezcennych dzieł sztuki. To dzięki polskim uczonym ludzkość nigdy nie zapomni nazwy dawnej stolicy Nubii, a ocalone przez nich freski ze świątyni w Faras oglądamy dziś w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Tysiącletnie twarze madonn i archaniołów

PATRZĄ DZIŚ na nas i aż dziwnie pomyśleć o tym, co one mogły już widzieć, nim pustynny piasek przysypał im oczy. Ręka nieznanego artysty wymalowała te postaci świętych, biskupów, archaniołów i madonn na ścianach nubijskiej świątyni już w VIII wieku. Już wtedy zbierali się tu wierni chrześcijanie, a ich biskupi mieli czarne murzyńskie twarze. Zadufani Krzyżowcy z Europy organizowali wyprawy krzyżowe w obronie Ziemi Świętej, nie wiedząc o tym, że wśród afrykańskich pustyń już od wieków istniało chrześcijańskie państwo Nubii. Gdy Arabowie zawojowali Nubię, zapanował islam, a chrześcijańskie świątynie niszczone i burzone przysypywał piasek.

Co się kryje we wnętrzu wzgórza

POLSKA ekspedycja archeologiczna ze względu na jeszcze przedwojenne zasługi Prof. Michałowskiego miała prawo wyboru miejsca. Zdecydowano się na Faras. Teren obejmował aż 7 km kwadratowych, w którym więc miejscu rozpocząć wykopaliska? Wszystkich intrygowało wzgórze nad Nilem. Prof. Kazimierz Michałowski, kierownik ekspedycji, zdecydował się na ryzyko i rozpoczęto prace.

— Rezultaty tych badań są bardzo poważne. Stwierdza to cała opinia światowa — powiedział Prof. Michałowski.

Rzeczywiście, mieli szczęście. W środku wzgórza tkwił zasypany piaskiem kościół z czasów chrześcijańskiego królestwa nubijskiego, sprzed najazdu Arabów, gdy Faras, a wówczas Pachoras, było siedzibą biskupów. Ściany kościoła były pokryte kolorowymi malowidłami. Naliczono ich w sumie 120, z czego 62 przyjechały do Polski.

Archaniołowie wychodzą ze ściany

CUDU TEGO dokonali polscy specjaliści, a głównym bohaterem okazał się architekt konserwator, Józef Gaza.

Trudno byłoby transportować całe mury świątyni, na których tkwiły malowidła. Trzeba było je z murów zdjąć. Ta arcydelikatna operacja zdejmowania fresków ze ścian kościoła przyniosła zespołowi polskiemu zasłużoną sławę. Oglądając dziś w sali muzeum olbrzymie postaci archaniołów, biskupów i madonn zachodzimy w głowę, jak oni to zrobili?

Otóż nim malowidło oddzielono od ściany, rozprowadzono na nim gorącym żelazem wosk i kalafonię. Na kleistą powierzchnię położono teraz japońską cieniutką bibułkę, gazę i mocne, cieniutkie płótno. Podstawiając drewniane rusztowanie, odpiłowywano malowidło od ściany wraz z cienką warstwą tynku. Liny przymocowane do płótna ułatwiały ułożenie fresku na sztywnej podkładce, w specjalnie przygotowanej drewnianej skrzyni, wyłożonej miękką wyściółką. Tak opakowany fresk przebywał długą podróż aż do Pracowni Konserwatorskiej Muzeum Narodowego, gdzie pod kierunkiem pani doc. dr Hanny Jędrzejewskiej poddawany był wielu zabiegom dokonywanym przez cały zespół konserwatorów.

Dziennik konserwatora

„4 grudnia 1965 roku. Obiekt przeniesiono z magazynu do pracowni. Nie zauważono zasadniczych zmian ani wykwitów soli". — czytamy w Dzienniku Konserwatora, gdzie zapisywane są prawie dzień po dniu wszystkie prace nad freskiem. Każdy fresk bowiem, nim ukazał się na wystawie, przeszedł przez 20 etapów najrozmaitszych zabiegów konserwatorskich, do których okazały się przydatne zarówno najdelikatniejsze narzędzia chirurgiczne jak i domowe żelazko elektryczne i wałek do ciasta.

Sole naniesione na malowidła przez wodę w okresach zawilgocenia w ciągu tysiąclecia były bardzo niebezpieczne. To one zżerały farbę i niszczyły freski. Dlatego też każdy fresk oddzielnie należało odsolić, czyli wykąpać w destylowanej wodzie i to kilka razy.

Kolejność zabiegów w „konserwatorskiej kuchni" była jednak ściśle ustalona i przestrzegana. Nim więc zdjęto z malowideł wosk, bibułę i gazę zabezpieczającą, przy pomocy elektrycznego żelazka, i umyto świętym twarze, zajęto się pracowicie odwrociem, czyli tą stroną malowidła, która jest przytwierdzona teraz do wzmacniającego tła i nie jest dla nas widoczna.

Na wystawie w Muzeum Narodowym cała jedna sala poświęcona jest objaśnieniu zwiedzających, jak przebiegały i na czym polegały prace konserwatorskie. Te żmudne i skomplikowane czynności przedstawione są niezwykle przejrzyście przy pomocy dokumentów, plansz, narzędzi i fotografii. Zadziwia ilość i precyzja przeprowadzonych zabiegów na każdym fresku oddzielnie. Praca ta trwała lata i trwać będzie jeszcze dalej, gdyż dotychczas pokazano jedynie część eksponatów, które polska ekspedycja archeologiczna przywiozła do Polski jako dar rządu sudańskiego, ofiarowany nam w uznaniu zasług polskich uczonych pracujących nad ocaleniem skarbów przeszłości Nubii.

Ta piękna kobieca twarz, prawdopodobnie świętej Anny, patrzy dziś na nas z plakatów rozlepianych na murach Warszawy, mówiących o otwarciu wystawy fresków z Faras w Muzeum Narodowym. Jest to jeden z fresków znalezionych w faraskiej świątyni.

Święci bez głów i nosów

OGLĄDAJĄC w salach muzeum kolorowe wielkie malowidła przedstawiające postaci świętych i biskupów, czasami z wytartymi głowami, bez rąk i nosów, czasami jedynie strzępki bogato zdobionych szat — pomyśli niejedno z was: „Phi. takie tam skarby, czemu choć nie dorysowano im tego, co brakuje".

Nie wystarczy patrzeć na zniszczone przez wieki malowidła. Trzeba jeszcze i wiedzieć, że pochodzą one z najstarszego cywilizowanego kraju świata. Uczeni i archeolodzy twierdzą, że nie jest możliwym poznanie przeszłości Egiptu i historii Afryki bez znajomości przeszłości i zabytków z Nubii, a co więcej, dokładne przebadanie Sudanu pozwoli poznać początki cywilizacji w ogóle. Freski z Faras przekazują nam mnóstwo szczegółów z tej zamierzchłej przeszłości, tym bardziej, że na ścianach starej świątyni polscy archeolodzy znaleźli nie tylko malowidła, ale i teksty w języku koptyjskim. Freski zaś są przykładem koptyjskiej sztuki bizantyjskiego okresu w Nubii. Dziwnym wydaje się fakt, że w czasie panowania faraonów w Egipcie tuż obok w państwie Nubii kwitła chrześcijańska sztuka bizantyjska.

Freski z Faras to świadectwa przeszłości o wielkiej wartości naukowej, które teraz, gdy Nubię zalewa sztuczny potop, rosną w cenie z dnia na dzień. Rozumiecie więc, dlaczego nie dorysowano postaciom brakujących im części i dlaczego tyle ludzi tak bardzo starało się o to, aby je zachować jak najdłużej w takim stanie, w jakim ukazały się one oczom naszych archeologów.

BARBARA TYLICKA

Zdjęcia pochodzą z książki Kazimierza Dziewanowskiego pt.: „Archanioły i szakale". Był to jedyny z polskich dziennikarzy, który na własne oczy oglądał „cud w Faras".

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 28-13-61. Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa". WARSZAWA, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 35. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch". Warszawa, ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam. 1382. T-19.

Adres redakcji WARSZAWA, ul. Miodowska 26.